



# Mały przegląd

piśmo dzieci i młodzieży  
wychodzący co piątek rano z korespondencje i material kierować należy  
do redakcji „małego przeglądu” nowolipki 7

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY DO NR. 104 (8804) NASZEGO PRZEGLĄDU

## ANKIETA FILMOWA

### DUŻO CZY MAŁO

— Ile nadeszło odpowiedzi? — zapytała sekretarka Basia, kiedy nasza grupa zebrała się przy zielonym stole w redakcji.  
— 66 — odpowiedziała Ida.  
— Dużo — zauważyła z odzieniem dumy Franja.  
— Powinno być co najmniej 6000! — zawołała Glisia.  
— Przecież wszyscy chodzą do kina.  
— Ale nie wszyscy chcą pisać — odrzekła Nina. — We wszystkich sprawach zawsze wypowiada się mniejszość — ci, którzy lubią myśleć i działać. Większość przygląda się biernie, słucha i między sobą gada. Dlatego uważam, że nasza ankieta wzbudziła duże zainteresowanie.  
— Dość gadania! Do roboty, moje drogie, do roboty! — zastukała Basia ołówkiem. — Proszę liczyć głosy.

### GÓRA ŚREDNIE DZIEWCZYŃKI Z WARSZAWY!

— Ile mamy odpowiedzi chłopców?  
— 16, stanowi to 24% — obliczyła Ida.  
— A ile dziewczynek?  
— 50 czyli 76%.  
— W jakim wieku?  
— Dzieci, do lat 10 15%, średniacy od 10 do 13 lat 64% i młodzież powyżej 13 lat 21%.  
— Skąd?  
— 70% z Warszawy i 30% z prowincji.  
— Słowem najwięcej wśród uczestników naszej ankiety mamy dziewczynek w „średnim” wieku z Warszawy.

### DLACZEGO WIECEJ DZIEWCZYNEK I WŁASNICIE Z WARSZAWY?

— Dziwi mnie, że tak mało chłopców zabiera głos w sprawie kina — zauważyła Ida. — Przecież nie mniej od nas lubią kino.  
— Leniuchy — zawyrokowała Basia. — Oni w ogóle rzadziej pisują.  
— Ale znacznie lepiej od nas — poprawiła Franja. — Chociaż chłopców jest mniej, częściej widzimy ich w gazecie. Przejrzyj rocznik Małego Przeglądu. Zobacysz, że najładniejsze listy i artykuły przysyłają właśnie chłopcy.  
— Ale dlaczego prowincja mniej pisze o kinie?  
— Bo ja wiem... Pewnie w życiu młodzieży na prowincji odgrywa ono mniejszą rolę.  
— Napewno tam rzadziej chodzą do kina.  
— W wielu miasteczkach w ogóle nie ma kina.  
— I bieda jest większa.  
— Właśnie. Czytaliśmy przecież straszne listy do Tozu o nędzy, jaka teraz panuje na prowincji.

### O WIDZACH STAŁYCH I PRZYGDNYCH

— Jak często na ogół chodzą do kina? — zapytała Basia.  
Ida poszperała w odpowiedziach, podliczyła:  
— Prawie połowa, bo 48% bywa w kinie raz w tygodniu.  
— A ja myślałam, że nie tak często.  
— Ależ nie mówimy tu o całej młodzieży! Nie zapominaj, że odpowiadają nam tylko ci, którzy najbardziej interesują się kinem i którzy mogą sobie częściej pozwolić na tę przyjemność, bo są przeważnie dziećmi średnio zamożnych rodziców. Napewno stanowią oni mniejszość. Inni, a takich jest więcej, z rzadka mają pieniądze na bilet, zresztą wiele jest jeszcze takich dzieci, które nigdy w kinie nie były.  
— 10-letnia Jadwiga napisała, że bywa w kinie 7 razy do roku.  
— Ciekawe, jak to wygląda: co 50 dni kino, czy też codziennie do kina w ciągu całego tygodnia, a potem już wcale aż do końca roku?  
— Nie śmiej się. Napewno Jadwisia przypominała sobie dokładnie, ile razy była w kinie w ostatnim roku i napisała: 7.  
— Dzieci w ogóle chodzą do kina rzadko. Nie ma dla nich dobrych filmów.

### DZIWNĄ ZAGADKĄ

— Wiecie, dziwną otrzymaliśmy odpowiedź na pytanie: „Jakiego rodzaju filmy lubisz najlepiej?” — Posłuchajcie.  
— Słuchamy, słuchamy!  
— Otóż dzieci najlepiej lubią filmy z własnego życia (47% odpowiedzi), potem — cowbojskie (30%), „średniacy” w jeszcze większym stopniu pragną filmów o prawdziwym życiu (76%), poza tym lubią komedie i filmy historyczne. A młodzież...  
— A młodzież napewno pragnie tylko filmów o współczesnym życiu.  
— Właśnie, że nie! Właśnie młodzież, która idzie w życie, odwraca się od niego, patrzy w przeszłość, bo najczęściej lubi filmy historyczne (50% odpowiedzi), następnie komedie (37%) i dopiero na trzecim miejscu zainteresowań stawia filmy realistyczne.  
— Rzecz naprawdę niezrozumiała. Czym to wytłumaczyć?  
— Jedno z dwojga: albo przypadkowo zbiegły się takie właśnie głosy młodzieży, albo istotnie tak jest. Znaczyliby to, że młodzież, zetknęwszy się z życiem, rozczarowała się i szuka zapomnienia, ucieczki przed rzeczywistością.

### O DOPRYM POKARMI

— A czy wszyscy lubią filmy oła młodzieży?  
— Dzieci — tak. Wszystkie dzieci lubią. „Lubię te filmy, bo

się rozwijam” — odpisuje nam Soniusia Pasternak. — „Bo je rozumiem” — pisze Jadwisia. „Średniacy” mają w tej sprawie głosy podzielone, jednak większość (67%) lubi bez zastrzeżeń. „Na ogół jest to dobry pokarm dla mej duszy” — stwierdza kol. Wiktor.  
— A co mówi młodzież?  
— Owszem, lubi. Oto co pisze Zuza M. „Są to filmy naiwne, miłe, pogodne i wesołe. Oglądając je, odrywam się od rzeczywistości i przenoszę się na dwie godziny do czarownego dzieciństwa”.

### KTO I JAK CHODZI NA FILMY NIEDOZWOLONE

— Dzieci zrobiły nam niespodziankę. 40% dzieci chodzi na filmy niedozwolone — mówi ze zdziwieniem Ida.  
— Ładne czasy nastały — westchnęła Nina, naśladując dorosłych.  
— Sądzę, że bujają — wtrąciła podejrzliwie Franja.  
— Nie, Franju — zaoponowała Basia. — Przecież jak 9-letnie dziecko pójdzie na film dozwolony od lat 10-ciu, to znaczy, że było na filmie niedozwolonym.  
— Masz rację — przyznaje Ida. — Ciekawam, ilu w takim razie „średniaków” chodzi na filmy niedozwolone?  
— 81%.  
— A młodzieży?  
— 86%.  
— Dlaczego tak się dzieje, co tu tak pociąga?  
— Posłuchaj, co pisze Rena: „Przed wszystkim film niedozwolony budzi ukrytą próżność, chęć pochwalenia się przed kolegami lub koleżankami, że się widziało rzeczy zakazane.”  
— Mam tu odpowiedź Wisi: „Pociąga mnie, pisze Wisia, wszystko to, co na filmach dozwolonych bywa zapomniane. Nierzadko taki film mnie się nie podoba, ale tego nie wypowiadam głośno, bo zarządy rodzice powiedzieli: „To było do przewidzenia, że ty tego filmu nie zrozumiesz, dla takich dzieci są inne filmy”.

— Ma rację. Kiedy się przyznajemy, że nas taki film nie zainteresował, nie tylko rodzice, ale i trochę starsze koleżanki mówią, że jesteśmy jeszcze dziećmi.  
— Mamy jeszcze zdanie Y.: „Często chodzę na filmy niedozwolone, lecz nie uwielbiam, a by mogły mi one zaszkodzić, bo w większości wypadków cenzura filmowa przesadza”.

— Dobrze. A co mówią przeciwnicy filmów niedozwolonych?  
— Fela mówi: „Nie lubię ich, gdyż ukazują mi one brud życia, ludzi złych, nie umiejących panować nad sobą, bez woli i charakteru.” To samo twierdzi Lola ze Lwowa i Roman L.: że ta cała czarna strona życia, ta ponura prawda, jeśli nawet jest prawdą, męczy i przygniatą. „Zdążymy jeszcze zetknąć się z nią. Teraz pragniemy jasnych obrazów, jakichś promieni, któreby rozpraszały mrok i wskazywały nam drogę”.

### PORAŻKA SHIRLEYKI

— Powiedz nam teraz, Basiu, jak się przedostają dzieci na filmy niedozwolone?  
— Prawie wszystkie piszą, że idą z rodzicami. Na przykład Jadwisia pisze: „Mnie zabiera z sobą mamusia”.

### NAJLEPSZE FILMY

— Jaki film uważają za najlepszy?  
— Dzieci wskazują tak różne filmy, że niepodobna ich głosów uzgodnić. Natomiast „średniacy” i młodzież jednogłośnie za najlepszy film uważają... Zgadnijcie jaki?  
— No, powiedz jaki?  
— Ziemię błogostawioną!  
— Bardzo się cieszę — mówi zadowolona Ida. — To pyszny film!  
— Potem najwięcej głosów zdobyły: „Księżę i żebrak”, „Pensjonarka” i „Królowna Śnieżka”.

### PROJEKTY MŁODEJ WIDOWNI

— Przejrzyj, Nino, odpowiedzi na następne pytania naszej ankiety: „Jaki film radzisz nakreślić?”  
Nina zabrała się do roboty, myśmy tymczasem trochę plotkowały, trochę dokazywały i był taki hałas, że drzwi się uchyliły i do pokoju zajrzała straszna twarz nocnego redaktora z Dużego Przeglądu. Wtedy cicho się zrobiło, jak podczas decydującej kłóśki i w tej grobowej ciszy rozległ się głos Niny:  
— Już wiem. Przede wszystkim radzą filmować ulubione książki: „Król Maciuś pierwszy”, „Quo Vadis”, „Nad czarną wodą” i t. p. Druga grupa uczestników naszej ankiety z koleżanką L. T. na czele proponuje: „nakreślić film wojenny, przedstawiający grozę wojny w jak najbardziej ujemnym świetle, tak, żeby budziła wstręt”. Wreszcie bardzo wielu domaga się filmu z życia szkolnego. Potem mamy już odosobnione, niekiedy oryginalne projekty. Np. kol. Dońska zwraca się do Ministerstwa Oświaty z apelem o wyprodukowanie takiego filmu, któryby wszystkim pokazał, jak się marnują talenty na skutek braku bezpłatnych szkół średnich i wyższych. Mietek radzi „nakreślić film polityczny z życia ludzi, którzy trzęsą światem”. W końcu Małgosia wielka moralistka, proponuje film p. t. „Skutki chodzenia młodzieży na niedozwolone filmy”.  
— Mnie się wydaje — odezwała się Glisia — że taki film byłby wcale nieciekawym.  
— Nie masz fantazji — przekonuje ją Basia. — Wyobraź sobie tylko 12-letnią panią w wieczorowej sukni siostry! Albo przygody trzech chłopców w poszukiwaniu litościwego kontrolera! Tu można wymyślić naprawdę wspaniałe kawały.  
— No to wymyśl — wtedy dopiero ten projekt będzie ciekawy.  
— Dobrze. Jutro wam opowiem. Musimy już kończyć, jest bardzo późno. Przeczytam wam tylko zdanie Zuzy M. o filmie w ogóle, zdanie, które podziela

(Dokończenie na str. następnej)

# Prośba o dobrą radę

To wcale nie jest takie proste, jakby się zdawało, a zresztą jak dla kogo. Dla takiego na przykład Daniela, który co kilka miesięcy zmienia szkołę, to chyba nic wielkiego, jedyna trudność, że trzeba często zmieniać... tarczę, bo z kolegami, to on się szybko zaprzyjaźni. U mnie to zupełnie co innego. Zebyście mnie dobrze zrozumieli, opiszę, jak to wszystko było.

Wstąpiłem do jednego z najlepszych gimnazjów żydowskich w Warszawie. Mimo zapewnień rodziców, że mi będzie w nowej szkole dobrze, bałem się tam iść, bo trudno mi się przyzwyczaić do nowego otoczenia. Nazywają mnie sobkiem.

Ale wiadomo, „przyzwyczajenie, to druga natura człowieka”, więc i ja w ciągu dwóch lat mogłem się zaprzyjaźnić z kolegami i polubić naszych belferów.

Właściwie nie byłem w klasie lubiany, bo nie brałem udziału w życiu klasowym i trzymałem się od kolegów z daleka. Ale po pewnym czasie spostrzegłem, że jeden z dotychczas obojętnych mi kolegów zaczyna się mną interesować. Poznaliśmy się dobrze i zaprzyjaźniliśmy się z sobą. Wciągnął mnie on do pracy w samorządzie i koledzy mnie polubili. Było mi teraz dobrze.

Nie przewidywałem jednak, że będzie to ostatni rok mojego pobytu w tej szkole. Nasze warunki materialne pogorszyły się. Rodzice nie mogli opłacać wysokiego czesnego. Trzeba było albo w ogóle rozstać się ze szkołą albo wybrać taką, w której opłata byłaby możliwa dla moich rodziców. Długo szukaliśmy, aż w końcu znaleźliśmy. Przeniosłem się do innej szkoły.

Inna szkoła... to niby takie proste, ale w rzeczywistości tragiczne. Kiedy przyjaźń nasza dosięgła punktu kulminacyjnego, a przywiązanie do klasy wzrastało z dniem każdym, musiałem szukać nowych kolegów. Mimo zapewnień rodziców i przyjaciela, że tam będzie mi dobrze, bałem się nowej szkoły. Rozumiałem, że tu wszystko muszę zacząć od nowa i znów będę sam. Tak właśnie się stało. Teraz jest mi w klasie źle. Nikogo nie obchodzi, nikt się mną

nie interesuje. Wracam ze szkoły w złym humorze. Chciałbym wiedzieć, czy ktoś ryś z korespondentów lub czytelników Małego Przekładu znajdował się kiedyś w takim jak ja dzisiaj położeniu. Jeśli tak, to

poradźcie mi, jak mam postępować, skoro nie umiem zawieść znajomości i jak mam zwalczyć w sobie nieśmiałość.

ABRASZA B. z Orlej.

# Dzieci ulicy

Godzina 8-ma wieczór. Idę Przejazdem. Deszcz pada. Błoto.

„A zoj mus es zajn”. Słyszę cieniutki głos i ciche tony rozstrojonych, starych skrzypiec. Zbliżam się do małej grupki ludzi, która otacza dwie dziewczynki napewno młodsze ode mnie. Jedna z nich blondynka z okrągłą buzią, w warkoczykach, gra wpatrzona w przechodniów, druga mała, chuda, śpiewa. Jest już nieco zachrypnięta, ale śpiewa jaknajgłośniej. Kręci czarnymi figlarńymi oczami.

Niektórzy z przechodniów stoją, przyglądają się, wzdychają i ruszają dalej. Inni otwierają portmonetki, wrzucają coś do ręki małej dziewczynki, która uśmiecha się i coraz głośniej śpiewa:

— „A zoj mus es zajn”!

Dziwny żal mnie ogarnia. Czy rzeczywiście tak musi być? Czemu one muszą tu stać na ulicy, wyciągać ręce do obcych ludzi?

Już późno. Idę do domu. Czy i one idą do swojego domu? Czy mają mamusię, taką jak mo-

ja, która przytuli i pocałuje? A więc czemu ich mamusia pozwala tu stać i żebrać. Moja mama nie pozwoliłaby na to. Ach, może tatuś tych dziewczynek nie żyje, a mama nie zarabia. A jeśli wcale nie mają mamusi?... Może one zastępują mamę lub tatę?

Czemu nikt nie podchodzi do nich, nikt nie zapyta. Nabiorę odwagi, podejdę do nich, zapytam: „Czy tak musi być? Powiedźcie, powiedźcie mi”. A może mnie wyśmieją, może odniosą się do mnie z pogardą, bo noszę ciepłe rękawiczki, szalik i boty, bo się boję zimna, a one są harde, stawiają opór wszystkim. Może powiedzą, że jestem głupia i nie rozumiem życia.

„A zoj mus es zajn”. HELA z Miłej.



# Jak przestałem palić

Miałem kolegę Edka (był on rudy) Edek myślał tylko o graniu w piłkę i paleniu papierosów. Pewnego razu dostaliśmy po dziesięć groszy od jednej pani. Edek dał projekt, aby kupić papierosy, a ja od razu się na to zgodziłem i poszliśmy je kupić (ja kupiłem „piaski”, a on „armatika”).

Paliliśmy w bramie. Naraz moja siostra, przechodząc, zau-

ważyła dym. Podeszła jak kot i zobaczywszy nas, odeszła niepostrzeżona. W domu powiadziła wszystkim rodzicom. A my sobie w dalszym ciągu najspokojniej w świecie paliliśmy. Ale że nic w świecie nie jest wieczne to i papierosy się wypaliły.

Kiedy wróciłem do domu, ojciec zawołał mnie i sprawił mi takie lanie, że chyba nigdy go nie zapomnę.

Pomimo to po pół roku zacząłem znów palić.

# Ankieta filmowa

(DOKONCZENIE)

połowa uczestników naszej ankiety: „Film pustą rozrywką bez względnie nie jest. Jest on sztuką, wprawdzie o mniejszej wartości i znaczeniu niż literatura, muzyka i teatr, jednakże prawdziwą, odrębną sztuką, której całkowicie zastąpić nie może nam ani literatura, ani sztuka, ani nawet teatr.”

W niedzielę o godz. 5 odbędzie się w lokalu redakcji wieczornica filmowa. Grupa Pięciu zaprosi na tę imprezę tych z pośród uczestników ankiety, którzy nadesłali najbardziej cenne odpowiedzi.

Całkowitą odpowiedzialność za bufet i program ponosi Grupa Pięciu — ja odpowiadam tylko za rachunek. Mam wrażenie, że skoro „średnie dziewczynki z Warszawy” wykazały tyle wytrwałości i rozsądku w zgodnej pracy nad przeprowadzeniem ankiety, potrafią też dobrze wywiązać się z roli miłych gospodarzy.

REDAKTOR.

Na Wieczornicę naszą zapraszamy kol. kol. Awnera, Wiśniewskiego, Dinces, Halinę Cybulską, Seweryna Hochmana, Mosze Milrada, Ickę z Siennej, L. T., Tosię Mławską, Tolka Szlika i Oika Zylbera.

Jednocześnie prosimy Redakcję o wystanie książek z dziedziny filmu na pamiątkę uczestnictwa w ankiecie następującym koleżankom z prowincji: Zosi Gertner, Toli Fishównie i Lusi Zylbersztajnównie.

Grupa Pięciu.



# Żarty

BEZNADZIEJNY STAN  
Uczniowie otoczyli kolegę, który wrócił właśnie od chorego profesora.  
— No, jak tam?  
— Beznadziejny stan. Musicie być przygotowani na najgorsze. Może już jutro przyjdzie do szkoły!

SPORT I SZTUKA  
— Wczoraj grałem z siostrą Chopina na cztery ręce — mówi pani do gościa, znanego sportowca.  
— Tak? i kto wygrał? — zainteresował się gość.

Tym razem już nie dostałem lania, tylko tatuś kazał mi napisać referat o strasznych skutkach palenia papierosów. Napisałem tak, że sam się przeląkałem tego, co napisałem i już więcej nie paliłem.

S. WYSZEGRODZKI (Kalisz)

BIAŁY KRUK  
— Chciałbym napisać coś takiego czego jeszcze nigdy nie było i nie będzie — mówi pewien literat do G. B. Shawa.  
— Czemu nie? — odpowiada Shaw, napisz pan dobrą krytykę o sobie!



B E L A M.

# Zwykła historia

Wielki mówca i mąż stanu starożytnego Rzymu, Cicero, tak pisał do swojego przyjaciela Attyka:

„Wszelkie przyjemności i radości są bez znaczenia, gdy Ciebie nia ma. Wszak Tobie zawdzięczam mój powrót do Rzymu. Dzięki Twoim staraniom mogę dziś cieszyć się swoimi bliskimi. Ale Ciebie pragnę ujrzyć nade wszystko...”

To samo mogłabym mniej więcej wyznać mojej przyjaciółce Nadzi, gdyby mieszała gdzieśindziej. Ale litościwie... oszczędził nam ciężkich dni rozłąki i umieścił w jednej klasie, na jednej ławce.

Wychowawczyni nazywa nas małżeństwem, kołozanki — siostrami sjamskimi. Łączyły nas wspólne zainteresowanie i ideały: Czarska, Zarzycka, Hugo...

Powieści Czarskiej tak podziałały na naszą wyobraźnię, że postanowiliśmy napisać książkę.

— Napiszemy nawet dwie książki — rzekła Nadzia. — Jedną o szkole, a drugą o rodzinie. Opowieć ci bardzo ciekawą, ale zarazem tragiczną historię. Zaznaczam, że wszystko jest prawdą.

— Słucham.

— Miałam koleżankę, nazywała się Guta. W dziesiątym roku życia straciła ona matkę. Ojciec wkrótce znów się ożenił. Matka maltretowała Gutę i...

— Ale Nadziu, to zwykła bajka o Kocpiuszkę!

— Bądź mądra i wysłuchaj do końca. Pewnej nocy ukazała się jej we śnie zmarła matka, przynosząca w upomniku jedwabne pończochy. Uszczęśliwiona sierota oglądała ten podarunek i obudziła się. Wiesz co zobaczyła? Na jej łóżku leżały te same

pończochy, które widziała we śnie. No i co ty na to?  
— Trzeba rozwinąć i napisać książkę. Ale jak ją zatyłdować?

— Właśnie, tytuł, to najważniejsza rzecz.  
— „Gehenna” nie może być, bo już Mniszkówna taką książkę wydała.  
— „Dzieje Guty”... Nie, nieładny tytuł.  
— O, już wiem. „Koleje życia”.  
— Dobra!  
— No to już jedna książka odwalona. A jak zatyłdujemy drugą?  
— „Nasza szkoła”.  
— Nie, zwyczajnie: „Szkoła”

W ten sposób zaczęliśmy pisać dwie powieści naraz. Na dobrą sprawę nie pisaliśmy ich wcale, bo ciągle tylko mówiliśmy, wymyślając coraz to nowe przygody i przeżycia dla naszych bohaterów. Kiedy wszystko już zostało obmyśnione i trzeba było pisać, powieść straciła cały swój urok.

— Weźmy się do czegoś innego — zaproponowała Nadzia. — Możemy na przykład wydawać gazetę.

Nie miałyśmy wprawdzie ani rutyny, ani kapitału, ale zapatu nam nie brakło. Współ z kuzynem Mońkiem ułożyliśmy „List do redakcji”, że gazeta kształci młode i stare umysły, że zbliża ludzi, że każdemu wolno pisać do „kącika młodych”, który kosztuje tylko pięć groszy i którego redakcja „przyjmuje interesantów codzień prócz sobót i niedziel”.

Interesanci się nie zgłaszali. Pisali sami redaktorzy, a czytali — ich krewni. Treść numeru składała się z poprawionych wspólnie klasówek i ładniejszych wypracowań szkolnych. Pozatem były nekrologi, ogłoszenia i sensacyjna powieść p. f. „Perwanie Leny”.

Czytelnicy mieli kamienne serca i uparcie milczeli. Nadmiar ziego wyonili się opozycja z Mońkiem i jego wujem na czele. Zrzucili oni nam

błędy stylistyczne i rzeczowe. W końcu założyli gazetkę hebrajską. Pisaliśmy ogniste listy o „błędnej i złośliwej krytyce uczciwego pisarza”, błagaliliśmy o współpracę i pomoc, ale za każdym razem wywoływało to tylko nowy atak, nową awanturę, aż wkroczyła władza rodzicielska i zamknęła wydawnictwo.

Zostaliśmy z Nadzią na bruku. Co począć, jakie znaleźć zajęcie?

— Założymy bibliotekę.

Z wielkim entuzjazmem zabrałyśmy się do nowej roboty.

Wywalczyłam sobie dwie półki na etażerze i tam umieściłyśmy naszą bibliotekę, która składała się z podręczników do historii i geografii, z najprzeróżniejszych bajek, przygód i powieści. Dokupiłyśmy jeszcze kilka książek kryminalnych po 20 groszy każda, bo „zajmują dużo miejsca i wcale nieźle wyglądają”.

Obłożyłyśmy nasze książki i sporządziliśmy katalog. Do szkoły złożyłyśmy z grubą paczką i w pachanymi teczka. Na pauzach odbywała się uroczysta „zmiana książek”. Nastęły czasy radosnej pracy.

Wszystko jednak z czasem mija, albo się psuje. Tak też u nas było. Znalazły się zazdrośniczki, które puściły plotkę, że „robimy interes”. Zaczęły nam ginać książki. Abonenci narzekali na mały wybór, na brak nowości... Puściłyśmy kanstem czytelnię.

Do nowej spółki nie doszło: rodzice Nadzi przeprowadzili się do Otwocka — musiałyśmy się rozstać.

Widujemy się od czasu do czasu, wspominając z istic babstkim rozrzewaniem dawne dzieje, gdy byliśmy „młode i piękne”, jak mawia nasz profesor matematyki, aby przypomnieć nam okres, kiedyśmy wszystko pięknie umiały.

# TENIS STOŁOWY

Bardzo lubię sporty. Gram w piłkę nożną i siatkówkę, ale najlepiej lubię tak zwany ping-pong. Gra ta jest naprawdę znana całej młodzieży, więc nie będę opisywał na czym polega.

Kiedy mam ochotę do gry, wolny czas i partnerów i gdy w domu nie ma nikogo (takie okazje zdarzają się najczęściej w niedzielę wieczorem) rozsuwam w jadalnym stół o popękanych już blacie i biorę dwie rakietki, z których jedna jest moją własnością (cienka i lekka) a druga pożyczona (bardzo gruba i ciężka, z jednej strony pęknięta, a z drugiej — oklejona warstwą gumy). Prawdziwej siatkówki nie posiadam, ale od czego głowa?

Biorę długi sznurek i starą gazetę. Przywiązuję sznur do krzesła, ustawionych z dwóch stron stołu i rozwiszam na nim gazetę. Można grać i grać, aż do pęknięcia piłeczki celuloidowej. Ostatniej niedzieli zebrało się przy tym stole pięć osób: Dawid (mój brat) Artur (uchodźca z Niemiec) Moniek i Wigdor (dwaj bracia) i wreszcie Icek (ja).

Pary wybraliśmy w ten sposób: włożono do czapki pięć różnych kawałków papieru, oznaczonych cyframi od jedynki do piątki. Postanowiliśmy że „jedynek” będzie grała z „dwójką”, „trójką” z „czwórką”, a „piątka” ze zwycięzcą pierwszej pary.

Wyciągnąłem „dwójkę”. Moim partnerem został Moniek, gracz „średnio - zły” nie chwytając się, gorszy ode mnie! Ja jestem graczem nijakim ani złym, ani dobrym, ale z nim, jeśli się spotykam, czynię, co mi się żywnie podoba. Bawię się. Czasami gromię go do dwóch, do czterech, a niekiedy dopuszczam do prowadzenia (naprzykład: osiemnaście — osiemnaście) aby w końcu „wziąć się do roboty” i go „wykończyć”.

Byłem pewny, że seta wygram i będę miał potem możliwość wypróbowania sił z bratem (gra lepiej ode mnie).

Postanawiam grać niedbale, niech Moniek zacznie wygrywać, dopiero pod koniec pokażę prawdziwą moją grę. Mimo tego przyrzeczenia prowadzę wnet trzy - zero, albowiem mój przeciwnik zepsuł sam trzy serwisy, bijąc dwa razy w „at” (za plac) a raz za blisko, w siatkę.

Wreszcie Moniek rozgrywa się i pierwsze jego uderzenie ładuje na mojej części stołu. Odbijam wolno, apatycznie. Moniek powtarza uderzenie, silniej, w moją prawą stronę, piłka odbija się o stół, podskakuje wysoko i mam okazję ścięcia. Nie czynię jednak tego bo pamiętam jeszcze o danym przyrzeczeniu. Odbijam tak samo wolno i lekko w głąb placu przeciwnego. Lecz ten niedorajda (przepraszam cię, Mońku za wyrażenie, które jest bardzo pospolite w czasie gry) „klksuje” i znów traci punkt.

Myślę: „czoby mi szkodziło, gdybym tylko tak ściał, kiedy on i tak nic nie zyskał”.

Mimo mych starań, aby Moniek wygrywał, nadal prowadzę. Jest już siedem - zero dla mnie. „Publika” srocząda zdziwiona.

— Ho, ho! Bardzo dobrze, Icek. Jesteś dzisiaj w formie. Moniek, przegrasz do zera.

Mój przeciwnik jest bardzo zaperwowany — no, nie dziw nego, po takim „kompresie”. Stara się z całych sił, gra jak może i — przegrywa.

Wreszcie zły już mówi:

— Ubrdał sobie szczęście.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Widząc, że idzie mi nieźle, co tam — doskonale (dziesięć — zero!) zmieniłem taktykę. Nie dam mu żadnej sposobności do zdobycia przewagi nade mną, chociażby jeden punkt.

Zaczynam grać zupełnie na serio, uważnie. I tu jakby na złość, szczęście się ode mnie odwraca.

Moniek bierze piłeczkę i chce zaszerwować. Ja się śmieję z radości, jestem pewny siebie, a on spogląda uważnie. Oczy mu się świecą złowrogo, twarz pionie ze wstydu. Pochyliła się, serwuje. I zdobywa punkt „fuksem”, bo piłka odbiła się o kant stołu na mej części i poleciała na bok. Nie zdążyłem jej przebić z powrotem.

— Kanciarz — mrucknąłem...

Słowo to w ping-pongu oznacza tych, którzy trafiają w kanty stołu i w ten sposób uniemożliwiają obronę.

Po chwili udają się Mońkowi jeszcze takie dwa „fuksy”. Nie przestaje „kantować”.

Różnica w punktacji między mną a nim wciąż się zmniejsza. Dziesięć cztery... Dziesięć - pięć, dziesięć - dziewięć. Za jednym zamachem!

Na „galerii” odzywają się już gwizdy pod moim adresem. Widzowie zaczynają pomagać mojemu przeciwnikowi okrzykami, wymachiwaniem rąk, wskazówkami co do sposobu gry i t. d. Ze mnie się śmieją.

Tak zmienną jest publiczność: zawsze po stronie silniejszego. Widać, że mam pecha, odwróciłem się ode mnie. Dopingują Mońka.

Ogarnia mnie rozpacz. Pracuję z całych sił, aby nie dać się tak zbić, zgromić, aby nie zostać zawstydzonym.

Serwuję forendem w prawą stronę placu przeciwnego, Moniek zwraca średniej siły ścięciem, które łatwo obraniam. Oddaje kontr - ścięcie. Jednak Moniek nie wypuszcza ofenzywy ze swoich rąk, ciągle atakuje: w prawo, w lewo, wyżej, niżej, dalej, bliżej. Nie mogę nadążyć, bronie się rozpaczliwie.

Rozgrywka trwała dosyć długo, mała piłeczka celuloidowa przewalała się z jednej części stołu na drugą, podskakiwała, toczyła po stole. Wreszcie udało się Mońkowi mnie „zkiwać”, co w sumie przyniosło wyrównanie.

— Dziesięć - dziesięć!

Gorszy ode mnie przeciwnik komenderował mną i przewagą jego wciąż rośla. Prowadził już piętnaście - dziesięć. Stałem jeszcze przy tej przeklętej dzielnicy. „Publiczność” szemrała między sobą, że się z niej już nie wydosłanę.

— Nie porawisz już wyniku — rzekł arbiter spotkania.

Ach ludzie, serce mi omal nie pękło z rozpaczy i wstydu. Lecz postanowiłem trzymać się: Nie dać się!

Byłem mokry od potu. Zrzuciłem marwanarkę, zakasałem ręka-wy i wziętem się do roboty. I nagle nastąpiło we mnie odrodzenie, obudzenie ze snu jakiegoś. Śmiało snorzącem s-tuacji w oczu. Wziętem się w garść. W tej chwili przyszła poprawa na lepsze.

Miałem piłkę wysoko, dogodnie i nie namyślając się wcale, ściałem ją lekko, ale silnie. Ugrzeżała na części stołu Mońka.

— Gzzz. Była nie do obrony. Uzyskałem wreszcie punkt. A za nim przyszły inne.

Tak jest w grze i w życiu. Szczęście zawsze bywa zmien-

ne. Zwycięstwo zależy najczęściej od pewności siebie, niezłomnej woli. Bez tego nawet mistrz przegra.

Humor i wesołość wróciły mi z chwilą, gdy uśmiełem się z zartu, który opowiedział Wigdor To mi wiele dopomogło. Wnet wrótnałem.

„Publika” znów się odmieniła. Życzliwość jej wróciła do mnie. Zaczęto teraz mnie dopom-gować i podniecać. Kilka sekund toczyła się jeszcze mniej więcej gra równorzędna, z nikłą moją przewagą. Było szesnaście - szesnaście. Jednakże przemogł w końcu opór Mońka. Za z-tem z furją atakował. Punktów mi ciągle przybywało. Prowadziłem: 20-16!

Mońkowi było już wszystko jedno. „B-to - nie było” — powiedział Grał jakby od niechce-nia. Wiedział, że jest przegrany. I przegrał!

Icek z Siemnej.

# DO CZYTELNIKÓW „Małego Przeglądu”

W numerze Małego Przeglądu z dnia 31 marca b. r. Zygmunt Bauman napisał, że ściana opowiadanie od E. Naganowskiego. Rzeczywiście tak było. Przyznaję się do winy. Nie mam zamiaru się bronić, bo postąpiłam bardzo nieuczciwie. Pragnę tylko napisać, w jaki sposób to się stało.

Otóż byłem kiedyś na kolonii (mogą to potwierdzić moje koleżanki) i miałam podobną, prawie taką samą przygodę. Cncia łam to opisać i wtedy właśnie wpadła mi do ręki część jakiejś starej książki, gdzie znalazłam czytankę Naganowskiego. Wtedy popełniłam tę kradzież.

Bardzo potem żalowałam. Chciałam nawet iść do redaktora i powiedzieć mu, żeby nie drukował „Wspomnienia”. Ale bardzo się wstydziłam, zwlekałam z dniem na dzień, tymczasem rzecz ta nie ukazywała się

w Małym Przeglądzie, więc po myślałam, że i tak tego się nie wydrukuje.

Raz jeszcze mówię, że wcale się nie bronie. Przyznaję się do winy, żaluję mojego brzydkiego czynu, proszę czytelników i panna redaktora, aby mi wybaczyli

TOSIA z Wołyńskiej  
Tosia podpisała się pełnym imieniem i nazwiskiem, zostawiamy jednak jej pseudonim.

\* \* \*

Dziwić się trzeba naiwności ściągających. Myślą, że mają do czynienia tylko z redaktorem, którego oczywiście podejść można, gdyż niesposób przeczytać, ani spamiętać wszystkiego, co kiedykolwiek zostało wydrukowane. Nie zdają sobie sprawy z tego, że pod pisują się pod cudzym utworem na oczach tysięcy świadków i że conajmniej kilku z nich zawsze przytapi ich na gorącym uczynku.

Właśnie wtedy, kiedy niby się udaje i twór zostaje wydrukowany, wynika sprawa przykra dla wszystkich: dla winowajcy — bo naje się wstydu, dla redaktora — bo nadużyto jego zaufania i dla czytelników — bo patrzą na rzecz brzydkią.

Dorośle go ściągacza (plagiatora) podaje się zwykle do sądu, małego — wyдалa się z gro-mady współpracowników.

W ciągu 13 lat istnienia Małego Przeglądu mieliśmy 9 takich wypadków. Zawsze kończyło się najwyższą karą — wydaleniem. Tym razem jednak takiego wyroku nie wydamy.

Nie skreślił Tosi z listy ko-respondentów dlatego, że nie wykrcala się tchórzliwie, nie chowała się, nie unikała odpowiedzialności, ale na wezwanie przysłała do redakcji i przyniosła ten list. Nieuczciwą sprawę zakończyła uczciwie.

Nie jest rzeczą łatwą przyznać się publicznie do winy. Tosia napewno teraz mocno cierpi i jestem przekonany — nigdy już nie ulegnie pokusie zdobycia laurów bez wysiłku.

Tosia zaczęła współpracę od początku — po okresie próby. Jaka to będzie próba — to już rzecz nasza: moja i Tosi.

REDAKTOR

# Sprostowanie pamiętkowym piórem

W wyniku plebiscytu, ogłoszonego w poprzednim numerze „Małego Przeglądu”, wieczne pióro za najlepszą odpowiedź na bajkę naukową Josa przyznano Samuelowi Zylbertrestowi z Warszawy.

Samuel natychmiast po wręczeniu nagrody usiadł przy biurku redaktora i wypróbował pamiętkowe pióro, kreśląc następujące sprostowanie:

W artykule moim zamieszczonym w nr. 90 „Małego Przeglądu” na str. 3, szpalta 3 wiersz 14 od góry zamiast 25.000 powinno być 15.000, także w wierszu 24 zamiast 2.500 ma być 7.500.

I R A.

S. Zylbertrest.

# Przyjaciel

Dobrze jest mieć prawdziwą przyjaciółkę lub przyjaciela. Ja nie mam. Czy naprawdę nie mam? A Żółka? Jakże ja mogłam zapomnieć. Chodź tu, piesku kochany. Mój miły, mój złoty piesku! Gładzę go po głowie ciepłej i miękkiej, a on mi liże ręce gorącym językiem. Jakże ja mogłam zapomnieć! Przecież to jest właśnie mój mały przyjaciel.

Taki śmieszny przyjaciel... Nie wielki, cały gładziutki, jasnożółty, równej barwy, ani jaśniejszej, ani ciemniejszej. Ma pyszczek dobrotliwy, a zarazem chytry i taki jakiś, że zaraz trzeba się do niego uśmiechać. Trochę jest jak lis, trochę jak jamnik, ale jamnik nie rasowy, bo ma za długie i za mało krzywe nogi.

Jak przyjemnie upływa z nim czas! Bawić się z nim lepiej można, jak z tą Lilką cioci Heli. Nie oburza się, nie dąsa, a tylko miękko i łagodnie gryzie mnie w ręce, a potem liże z namiętności, rozwała się brzuchem do góry, a później, gdy chcę już odchodzić, zrywa się i łasi, skacze, zatrzymuje, żeby nie, żeby jeszcze się z nim bawić.

Nie można go nie kochać. I mamusię zawojuował i tatusia... A tyle z nim miałam najpierw kłopotu... Bo ten pies całkiem niespodziewanie stał się moim.

Było to blisko dwa lata temu, gdy wracałam od cioci Heli do domu. Gdzieś koło Wspólnej przyczepił się do mnie jakiś piesek... I szedł za mną. Potem na rogu Pięknej zdawało mi się, że go zgubiłam. Odetchnęłam z ulgą, a zarazem poczułam jakiś żal. Dlaczego jednakże żal? Przecież do domu go zabrać z sobą nie mogłam, bo coby mama powiedziała na tego przybłądę. Ale było mi żal, że nie widzę już tych jego bojaźliwie wlepionych we mnie oczu, nie widzę, jak merda pociesznie ogonkiem.

Okazało się niebawem, że właśnie niepotrzebnie odetchnęłam z ulgą, bo pies się znalazł. Wyłonił się skądś z za nóg ludzkich, z za rzędu taksówek i za mna.

— Co ja z nim zrobisz? — myślałam — jeśli on się koniecznie uprze? Co zrobię z tym utrapionym psem? Z tym kochanym psem?

Bo czułam, że już go kocham... A on szedł tuż koło mnie, noga przy nodze, jakby to był mój pies. Mój własny. Było mi strasznie przyjemnie, a jed-





## IZ DNI WIELKICH WRAŻEN.

### I. — JAK BYŁO W SZKOLE.

Zaczęło się od tego, że pani w klasie kazała kupić watę, gazetę i tasienki, aby uszyć tampony. Kiedy wszystkie dzieci miały już gotowe tampony, zrobiliśmy ćwiczenia z panią.

W przeddzień ćwiczeń O. P. L. przygotowałem sobie pudełeczko, do którego włożyłem tampon. Przewiesiłem pudełeczko przez ramię i poszedłem na spacer.

Zbliżał się wieczór. Pawia ulica wyglądała inaczej niż zwykle. Latarki domów zasłonięte były ciemno-niebieskim papierem, okna — czarnym papierem lub kocami i na ulicy panowały ciemności.

Nazajutrz rozpoczęły się ćwiczenia O. P. L. Podczas ćwiczeń wolno było kręcić się po ulicy tylko tym, którzy nosili żółto-zielone opaski i byli komendantami, kierownikami, sanitariuszami, pożarowymi lub gońcami.

Podczas każdego alarmu atakowano inną dzielnicę Warszawy. Kiedy atakowano naszą dzielnicę, byłem właśnie w szkole. Nasza klasa udawała, że jest zagazowana. Przez cały czas trwania ćwiczeń siedzieliśmy cichutko w klasie. Słychać było huk bomb, spadających na ziemię.

Po ćwiczeniach O. P. L. poszliśmy do domu.

MAREK z Pawiej.

### II. — BOMBY.

Chcąc się dowiedzieć, jak wygląda alarm, zeszedłem na podwórko i wszedłem do bramy, gdzie stali moi koledzy. Na ulicach było ciemno, tylko komendanci kręcili się i pilnowali porządku. Nagle obok naszej bramy spadła bomba. Uciekliśmy na klatki schodowe.

Po kilku sekundach bomba pękła i ukazał się słup dymu. Od tego dymu ludzie zaczęli płakać, bo to była bomba łożąca.

ABRAM z Przebiegu.

### III. — CHWILE STRACHU.

W gazetach pisano, że alarm lotniczy udał się bardzo, bo ludzie zachowywali się wzorowo i stosowali się do przepisów.

Ja niebardzo byłem zadowolony z tego alarmu, bo muszę się przyznać — trochę się bałam.

Ciekawość moja przewyciężyła jednak strach i podczas ataku samolotów wyszłam z domu, aby przyrzeć się, jak to wygląda.

Jak tylko wyszłam z bramy, dał się słyszeć głos syreny i liczne nawoływania:

— Alarm! Alarm!

Przeżona wbiegłam do bramy i musiałam tam stać kilka godzin. Mamusia była o mnie bardzo niespokojna, a ja sama przeżyłam chwilę nieśmiętego strachu.

LUSIA z Muranowskiej.

### IV. — ZARZĄDZAM ALARM LOTNICZY!

W czwartek i piątek odbyły się w Warszawie ćwiczenia O. P. L. Byłam chora i wiele rzeczy widziałam, ale mój tatusz był zastępcą komendanta i to,

co widział, opowiadał mi. Poza tym przez radio nadawano różne wiadomości i komunikaty.

W czwartek rano poczyniono ostatnie przygotowania. Przez radio nadawano rozmaite rozkazy dla wojska. Po obiedzie rozległ się głos syreny:

— Uuuuu... (coraz głośniej, a gdy zapowiedzacz miał coś mówić to ciszej) uuuuu...  
— Zarządzam alarm lotniczy dla miasta Warszawy!

— Uuuuuuuu...  
— Warszawa! Alarm lotniczy!

Przez radio nadawano co chwila:

— Mieszkańcy, dom przy ulicy... Nr... stoją przy otwartych oknach. Hallo, hallo, uwaga, uwaga, od strony Praga pojawiają się obce samoloty. Hallo, hallo, przy ul... Nr... robotnicy pracują przy budowie. Prosimy zejść z rusztowania!

W piątek rano niedaleko nas zrzucono kilka bomb. Drżałam ze strachu, choć wiedziałam, że to tak na niby.

Drugi alarm był podobno imponujący. Reflektory krzyżowały się, szukając na niebie „nieprzyjaciela”. Myśliwskie samoloty „nasze” zabiegały drogę bombowcom „obcym”. Ale tego nie widziałam, tylko słyszałam od tatusia.

W sobotę rano usłyszeliśmy głos zapowiedacza przez radio:

— Hallo, hallo! Uwaga, uwaga! Ćwiczenia O. P. L. w okręgu Warszawa, Włochy, Ursus, Pruszków odwołane!  
Powtórzył to kilka razy. Zdjęto zastony, a ja odetchnęłam. Muszę przyznać, że podczas tych ćwiczeń bardzo się bałam.

SULAMITA z Pawiej.

### UPARTA.

Jestem bardzo uparta. Kiedy mi się coś mówi, to ja nie słucham, tylko robię swoje. Mam niecałe 9 lat i jestem w 3-cim oddziale.

Raz mamusia powiedziała, że bym nie brzdąkała na pianinie. Ja nie słuchałam i dalej grałam. Potem mamusia kazała mi podejść do stołu. Uparta jestem, nie chciałam jeść obiadu i weszłam do drugiego pokoju.

Mamusia sama zjadła i wyszła na spacer, a ja zostałam w domu z pustym żołądkiem. Jak mama wróciła ze spaceru, prosiłam, żeby mi dano chociaż pół bułki. Ale mama nie dała mi nic aż do kolacji.

Dopiero wtedy zobaczyłam, jak źle być upartą.

FELA z Ś-to Jerskiej.

### NAJMILSZE ŚWIĘTA.

Najlepiej lubię święta wielkanocne. Te święta są zupełnie inne. Mamusia kupuje mi wtedy różne rzeczy, a ja cieszę się i jestem szczęśliwa.

Jedzenie jest także inne i smaczniejsze. Je się macę, pije wino (mnie mamusia pozwala wypijać kilka kieliszków). Nie wolno jeść żadnej rzeczy, która zrobiona jest z

mąki, np. chleb, bułki, ciasta, makaron i t. p.

Moje urodziny także wypadają akurat na Wielkanoc i wtedy mam podwójne święta.

A najmiej spędzam czas przy sederze. Podczas pierwszego sederu zasnąłem ze zmęczenia. Śniło mi się, że prorok Eliasz głaszcze mnie po głowie. Wyglądał bardzo starszy, miał dobre oczy i długą brodę. Chciałem go objąć za szyję i ucałować, ale wtedy właśnie obudziłem się. Zobaczyłam przed sobą mamusię, która śmiejąc się powiedziała:

— Czy ty chciałeś ptaszka złapać?  
Opowiedziałam, co mi się śniło. Wtedy mamusia odrzekła poważnie:  
— Trzeba być wielkim człowiekiem i bardzo nabożnym, aby mu się ukazał prorok Eliasz.

DORKA B.

### NIECH I LEJZOR SIĘ CIESZY

Mamusia wyszła ze mną na miasto, żeby mi kupić na święta buty i palto. Mamusia kupiła mi tylko buty, a po palto miała iść drugiego dnia.

Gdy po obiedzie przyszedłem do szkoły (chodzę do chederu, gdzie uczymy się także po obiedzie) opowiedziałem

kolegom, że dziś mamusia kupiła mi buty, a jutro pójdziemy po palto.

Koledzy zaczęli opowiadać, co im rodzice kupili na święta. Wtem usłyszałem czyjs smutny głos:

— Żeby ja chociaż buty miał...

Odwrociłem się i zobaczyłem Lejzora. Wyszedłem z nim na korytarz i powiedziałem:

— Chcesz pójść do mnie? Mam buty, które są jeszcze dobre, mogą ci je podarować.

Lejzor zgodził się. Po lekcyjach poszedł do nas i dał mi buty. Były w sam raz. Mamusia dała mu jeszcze spodnie i dla jego siostry pantofle. Lejzor posiedział u nas, zjedliśmy razem kolację, a potem on poszedł do domu.

Nazajutrz mamusia poszła ze mną po palto. Poprosiłem, aby mamusia kupiła jeszcze coś dla Lejzora, bo oni są biedni. Mamusia weszła do sklepu i kupiła kilka par pończoch: dla Lejzora i jego rodzeństwa.

Zaraz też poszedłem do niego. Matka Lejzora dziękowała mi serdecznie. Teraz i Lejzor był wesół, że miał coś na święta.

PINCHAS z Nowolipia.



Wyszedłem wczesnym rankiem z domu. Dzień pogodny i jasny. Słońce uśmiechało się jasnymi, ale niezbyt ciepłymi promieniami. Śnieg skrzypiał pod nogami. Wszystko wokół zdawało się cieszyć z piękności dnia, ale moje myśli były smutne i ponure.

Myślałem o tym, jak pobili na moście nad Niemnem jednego Żyda, na ulicy Listowskiej drugiego i ja też wtedy oberwałem od rozjuszonego chuligana.

Na własne oczy widziałem, że przechodnie, mijając pobitego Żyda, nie zwrócili nawet na niego uwagi. Kilku ludzi podszedło do niego, lecz ujrzawszy, że to Żyd, odsunęli się od niego, aż wrócili spłoszeni Żydz i odprowadzili go do lekarza.

Tak zamyślony doszedłem do Placu Batorego, gdzie jak zawsze roito się od przechod-

niów i pojazdów. Nagle spostrzegłem gromadę ludzi na środku ulicy. Gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem pognicione go i nawpół martwego psiaka (jak się później dowiedziałem, został przejechały przez motocykl). Strach było patrzeć. Krew lała się strumieniami, a on jęczał przeraźliwie.

Wtem przez tłum przecisnęła się elegancka pani. Rzuciła się do zranionego psa. Czym prędzej przyniosła wodę, obmyła rany i ocuciła go, potem zajęła się odszukaniem motocyklisty, aby wytoczyć mu sprawę sądową.

Naprawdę, ta pani miała dobre serce. Ale to mnie zastanowiło: dlaczego my, Żydzi jesteśmy gorzej męczeni? Myślę, że człowiekiem więcej trzeba się opiekować niż psem, bo człowiek jest bardziej pożyteczny.

JANKIEL A. z Łuny

## Ciekawostki

50 lat temu, dokładnie 30-go marca 1889 r. została ukończona budowa wieży Eiffel. Była ona atrakcją Wystawy Powszechnej w Paryżu w r. 1889. Przez długi czas wieża Eiffel była najwyższą budowlą świata, dopiero w 1930 r. zbudowano w Nowym Jorku dwa drapacze chmur: jeden 310 metrów wysokości, drugi 379. Ale nawet teraz, gdy rekord został pęty, Wieża Eiffel jest nadal podziwiana przez wszystkich.

Wieża ta była dziełem francuskiego inżyniera Gustawa Eiffela. Ale nie on pierwszy powziął myśl zbudowania wieży 300 m wysokości. W roku 1874 dwaj inżynierowie amerykańscy przedstawili plan niezmiernie wysokiej wieży, która miałaby „rozweselić” widok New-Yorku. I w wielu innych krajach myślaro o zbudowaniu podobnej wieży

Babel. Studiowano projekty, ale nikt nie śmiał podjąć się budowy, uważając ją za niewykonalną. Jednak Gustaw Eiffel to wykonał.

W czerwcu roku 1886 przedłożył swój projekt komisarzowi głównemu Wystawy. Projekt został prawie natychmiast zatwierdzony. W kilka miesięcy później miasto przyznało mu 1.500.000 franków i prawo „eksploatacji” Wieży podczas trwania Wystawy i przez 20 lat dalszych. Roboty rozpoczęto natychmiast. Trwały one dokładnie dwa lata, 4 miesiące i 9 dni przy 250 robotnikach.

30 marca Wieża została zupełnie wykończona. Gustaw Eiffel pierwszy wspiął się na jej szczyt, aby tam wetniąć trójkolorowy sztandar.

W Stanach Zjednoczonych



### XIV-ty TURNIEJ ROZRYWKOWY „MAŁEGO PRZEGLĄDU” ODPowiedzi REDAKCJI „ROZR. UMYSL.

Mieczysław Gimsel. — Było to przeoczenie zecera.

Gutmanowicz Sewek. — Pytasz się, czy możesz nadsyłać zadania własnego pomysłu. Oczywiście, że możesz. Jeżeli zadania twoje będą pomysłowe, napewno zostaną zamieszczone.

Kotlicki Jerzy. — Niektóre zadania, nadesłane przez ciebie zostaną zamieszczone.

Hylel Szechet. — Zadanie, które nam przysłałeś, zamieścimy.

Wyniki XIV-go Turnieju Rozrywkowego zostaną zamieszczone w następnym numerze „Małego Przeglądu”.

### Jak założyłem radiostację?

Gdy brat przyniósł ze szkoły wiadomość o „radiostacji” domowej, od razu zapaliłem się do budowy

Myślałem, że będzie to trudna i skomplikowana robota, tymczasem okazała się ona bardzo prostą.

Do budowy potrzebne są słuchawki, a ja słuchawek nie miałem. Gdy wystarałem się już u znajomych o słuchawki, dopiero spróbowałem zrobić tę radiostację. A robiłem tak: wyczyłem z radioodbiornika wtyczki uziemienia i anteny i do gniazdek adaptera (radiogramofonu) włączyłem wtyczki słuchawek.

Uważałem jednak, by wtyczka do prądu była wyłączona. Gdy zacząłem mówić do słuchawek, radio odawalo głos mój zupełnie wiernie i wyraźnie. Po pierwszej próbie założyłem przewody do drugiego, a potem do trzeciego pokoju.

Podczas wizyty gości, nadałem żarty i anegdoty. Goście byli zdziwieni, że radio nadaje tylko żarty i żarty. Gdy rzecz się wydała, było dużo, dużo śmiechu.

Radiostację tę polecam czytelnikom dlatego, że przy jej pomocy można wywołać dużo śmiechu, tak potrzebnego w dzisiejszych smutnych czasach.

D. SZAFERMAN.

istnieje 3.000 drapaczy chmur, które mają wysokość od 20 do 100 pięter.

Na Floridzie ogrodnik zdołał zaszczyć w drzewo owocowe pędy 10-ciu różnych drzew. Teraz zbiera on z jednego drzewa morele, wiśnie, brzoskwinie itd.

Na Pacyfiku znajduje się jeszcze co najmniej 200 wysp do odkrycia. Kto tam wyruszy, kto je odkryje?

Najdłuższe na świecie połączenie radiotelefoniczne (15.000 km.) ma być uroczystie otwarte między Waszyngtonem a Sydney (Australia).

Serce bije przeciętnie 80 razy na minutę i pompuje w godzinę 480 litrów krwi.

Najmniejszy dziennik świata wydawany jest na jednej z wysp Oceanii. Zawiera jedyną kartkę 50 cm. na 22 cm., drukowaną na jednej stronie.

(Z tyg. franc. „BENJAMIN” tłum. S. L.)